

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

„Naszym ogromnym pragnieniem jest, aby jeśli to będzie tylko w przyszłości możliwe, przenieść szczątki naszych Rodziców oraz Sióstr i Ich najbliższych z rodzin na poświęconą ziemię, na katolicki cmentarz.” Kazimierz i Antonina Sidorowicz

**WSPOMNIENIA KAZIMIERZA I ANTONINY SIDOROWICZ
Z D. TUROWSKA ZE WSI DOMINOPOL W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI
NA WOŁYNIU 1930 - 1944**

Nazywam się Antonina Sidorowicz, mam 87 lat i mieszkam w kolonii Siedliska 115, gm. Zamość, powiat Zamość, woj. Lubelskie. Urodziłam się w 1916 r. w sierpniu we wsi Dominopol, gm. Werba, powiat Włodzimierz Wołyński. Moja mama Maria z domu Zinkiewicz, a tato Aleksander Turowski. Dla Królestwa Niebieskiego narodziłam się w Kościele w Swojczowie [gm. Werba]. Rodzice wioząc mnie do chrztu świętego musieli brać specjalną przepustkę od wojska, które stało na moście. I wojny światowej nie pamiętam, znam ją tylko z opowieści.

Moja rodzinna wieś była prawie wyłącznie zamieszкана przez ludność polską, a mieszkało w niej około 300 rodzin, to była bardzo duża wieś. Rodzin ukraińskich było tylko dwie: Markiewiczze i Dubczuki. Było u nas często bardzo cicho i spokojnie, drewniane domki otoczone były sadami i ogrodami, w których było mnóstwo najróżniejszych kwiatów i drzew owocowych. Najlepiej zapamiętałam orginie i astry, a z drzew najwięcej było wiśni. Uroku dodawał i zapach rozsiewał bez: biały, niebieski i czerwony. Było u nas bardzo pięknie, od strony północnej, od Świnarzyna rósł piękny las, tam chodziliśmy często całymi rodzinami na grzyby, zbieraliśmy też chętnie orzechy laskowe, poziomki, czernice i jagody. Las był naszą wspólną wszystkich spiżarnią. Z kolei od strony południowej wiała się wolno rzeka Turia, a przy niej rozciągały się łąki i pastwiska. Często chodziłam tam ze swoimi koleżankami zbierać łąkowe kwiaty, pasło się tam wtedy dużo krów. W naszej rzece woda była czysta i zdrowa, żyło w niej dużo ryb, które chłopcy łapali na wędziska. Bardzo kochałam naszą wioskę, miałam tam wielu kolegów i koleżanek.

Gdy byłam dzieckiem, chodziłam do polskiej szkoły, która była w Dominopolu. Lubiałam chodzić do szkoły, gdyż było tam fajnie, nasi nauczyciele organizowali „Jasełka” oraz wiele innych przedstawień, w których aktorami byliśmy my dzieci. Wiele razy widziałam te sztuki, nawet sama raz brałam udział w takim przedstawieniu i byłam wtedy za aniołka. Te lubiane przez dzieci przedstawienia organizowano przez cały rok, a przeważnie na Boże Narodzenie. Nasza szkoła była 4-klasowa i chodziły do niej nie tylko polskie dzieci ale także ukraińskie, przede wszystkim z Wołczaka. Wieś Wołczak [gm. Werba] była zamieszкана wyłącznie przez Ukraińców, wśród nich żyło tylko dwie polskie rodziny, jeden Polak nazywał się Buczak. Drugi gospodarz nazywał się Adam Mikulski lat ok. 70 oraz jego żona Helena lat 65, ich córka Józefa lat ok. 18 oraz nasz dobry przyjaciel Franciszek Mikulski. Miałam więc koleżanki i kolegów zarówno Polki jak i Ukrainki. Nasze dzieciństwo było nadzwyczaj zgodne i pełne miłości. Nie przypominam sobie dziś nawet jednego przypadku, choćby drobnej wrogości zrodzonej na tle różnic narodowościowych. Wielokrotnie bywałam w ukraińskich domach i nie pamiętam, aby ktoś wtedy mówił źle o Polsce i Polakach. Tak samo czułam się w Wołczaku, nikt nie robił Polakom przykrości. Pragnę podkreślić, że sytuacja ta nie uległa zmianie także w latach 30-tych, byłam już wtedy

panienką, ale w naszych wzajemnych odniesieniach nic się nie zmieniło, nadal było spokojnie.

Moja rodzina była wyznania rzymskokatolickiego i na msze święte chodziliśmy do kościoła w Swojczowie, który był bardzo niedaleko, tylko 4 km od naszej wsi. Najczęściej chodziliśmy przez kolonię Piński Most [gm. Werba], a dalej przez niemiecką kolonię Wandywola. Kiedy Niemcy opuścili ją jeszcze przed II wojną światową zamieszkali w niej zarówno Polacy jak i Ukraińcy. Nasza świątynia była bardzo piękna, murowana dookoła obsadzona lipami. W ołtarzu głównym znajdował się laskami słynący Obraz Matki Bożej Swojczowskiej. Pamiętam jak na rozpoczęcie mszy świętej obraz był odsłaniany, a po zakończeniu zasłaniany. W tym kościele przystąpiłam po raz pierwszy do I Komunii Świętej, to było bardzo niezwykle przeżycie, jak każde dziecko lubiałam słodczyce, dlatego bardzo dobrze zapamiętałam, jak po naszej uroczystości, nasz ksiądz zaprosił wszystkie dzieci do ogródka, który był tuż obok plebani. Gdy tam przyszedłam, ujrzałam wiele stołów, a na nich ciasto i gorąca herbata, a wszystko było przygotowane z myślą o mnie i o innych dzieciach pierwszokomunijnych. Bardzo mi się to wtedy podobało.

SZCZĘŚLIWE OKRUCHY MŁODOŚCI

Niedługo później, miałam wtedy zaledwie 8 lat bardzo wiele razy brałam udział w świątecznych procesjach dookoła naszej świątyni, będąc w białej pięknej sukience, którą sprawili mi rodzice. Szłam razem z innymi dziećmi i gęsto sypałam kwiatki przed kroczącym w Najświętszym Sakramencie Panem Jezusem. Pamiętam, że na bierzmowanie wybrałam sobie imię Maria, bo tak miała na imię moja kochana mamusia. Przyjechał wtedy do nas ks. Biskup, a cała uroczystość była bardzo piękna. Właściwie wszystkie święta bardzo mi się podobały, do dziś szczególnie dobrze zapamiętałam odpust w Swojczowie, ku czci Matki Bożej Siewnej, który wypadał każdego roku 08 września. W tym dniu do kościoła zjeżdżało się bardzo wielu ludzi z wszystkich stron naszej dużej parafii, a nawet przyjeżdżali ludzie nieraz z bardzo odległych stron. Gośćmi było także wielu księży. W tym dniu zawsze była bardzo uroczysta procesja dookoła naszej świątyni, chodziliśmy dwa albo trzy razy.

Prawdziwą atrakcją był jarmark, który zawsze towarzyszył tak wielkim uroczystościom, a można tam było kupić przeróżne drobiazgi, raj dla dzieci. Szczególnym zainteresowaniem cieszyła się karuzela, duża i piękna karuzela. Na zawieszonych łańcuchach pomykały żwawo gipsowe i drewniane koniki, malowane w najróżniejsze barwy, wyglądały jak żywe. W środku byli ludzie, którzy kręcili karuzelą oraz orkiestra złożona z kilku muzyków, aby wszystkim było miło i wesoło. Wspomina pan Kazimierz: „Znałem osobiście kierownika tej orkiestry, Ukraińca ze Rzewuski o imieniu Pieter, grał na Barytynie – dęta trąba. Razem było ich ośmiu muzyków. Inną znaną i lubianą w naszych stronach grupą muzyczną była polska kapela, pochodząca z polskiej kolonii Czesnówka. Było to kilku muzyków pochodzących z jednej rodziny, nazywali się Struś i często grali na przeróżnych przyjęciach w Swojczowie i w okolicach.

Pod czułą opieką Matki Bożej Swojczowskiej, życie religijne rozkwitało także w naszej wiosce, **pamiętam jak bardzo lubiliśmy śpiewać podczas różnych świąt najróżniejsze pieśni religijne i nie tylko. W maju chodziliśmy, tzn. ja i moje koleżanki: Feliksa i Stanisława Potockie oraz nasz kolega o nazwisku Wasilewski także pod figurę, aby śpiewać majówkę.** Nasza figura stała na samym początku naszej wioski od strony zachodniej, od wsi Zarudle, tuż obok domu gajowego Ukraińca Władysława Czereniuka i jego żony Marii. To był piękny duży, drewniany krzyż, na którym zawieszony był Pan Jezus. Właśnie tam, przez cały maj każdego wieczora, radośnie śpiewaliśmy najróżniejsze pieśni ku czci Matki Bożej, bardzo ją kochaliśmy. Z kolei w Wielkim Poście, do naszego domu schodziło się wielu ludzi w każdym wieku i wspólnie z przejęciem śpiewaliśmy Gorzkie Żale oraz odprawialiśmy Drogę Krzyżową. Tak było niemal codziennie pamiętam, że bardzo lubiałam brać w tych spotkaniach czynny udział. Wierni naszej parafii chowani byli na cmentarzu w Swojczowie. Był stary i nowy cmentarz, na starym cmentarzu złożone zostały

prochy moich dziadków ze strony mojego tata i mojej mamy. Natomiast dziadkowie mojego męża, pochowani są na cmentarzu we Włodzimierzku Wołyńskim.

Nie pamiętam, aby przed II wojną światową Ukraińcy śpiewali wrogie piosenki na Polaków, nie było między nami nawet jakiś sztucznych podziałów. Ludzie wspólnie i radośnie spędzali wolny czas, bawiąc się i śpiewając przy różnych sprzyjających okazjach, jak święta i uroczystości rodzinne, nawet zwykłe spotkania. Nawet klęska państwa polskiego we wrześniu 1939 nie miała praktycznie żadnego wpływu na zmianę tej sytuacji. Nie przypominam sobie żadnych aktów wrogości, także po przyjsciu Sowietów. Nie słyszałam, aby ktoś w tej ciężkiej dobie dla naszego narodu naśmiewał się z tego co stanowiło polskość.

Kiedy rozpoczęły się straszne wywózki na Sybir, z naszej wsi nikt nie pojechał bowiem przedstawicielem rady wiejskiej „prociedadatiem”, utworzonej przez Sowietów zaraz po wejściu do Polski był Ukrainiec z Dominopola Dubczuk. To był bardzo dobry człowiek, który gdy Sowietzi zadali mu pytanie: „*Jak tam u ciebie Polaczki dobre czy złe?*”, miał odpowiedzieć: „*U mnie nie ma kiepskich ludzi, wszyscy są dobrzy.*” Tę historię opowiedział mi osobiście Franciszek Mikulski z Zamościa, który mieszkał wcześniej w Wołczaku. Skąd on o tym wiedział? Pewnie opowiadali mu miejscowi ludzie. Podsumowując, za pierwszej okupacji sowieckiej nie było między nami jeszcze wrogości, nikt nie mówił jeszcze o mordach.

ROK PRZED ZAGŁADĄ

Czerwiec 1941 r. nie przyniósł większych zmian we wspólnym pożyciu Polaków i Ukraińców w naszej okolicy. Nie zauważyłam żadnych objawów radości u Ukraińców z powodu przyjscia na nasze ziemie Niemców. 17 sierpnia 1941 r. wyszłam za mąż za Kazimierza Sidorowicza i zamieszkałam we wsi Smolarnia, gm. Werba. Jeszcze w 1942 r. nie słyszałam, aby Ukraińcy dopuścili się gdzieś napadu na Polakach, nie pamiętam choćby jednego aktu wrogości. W zimie 1942 r. do naszej wsi Smolarnia przyjechała rodzina ukraińska Stefana Maciochy, zamieszkała wcześniej we wsi Młyniska nad Bugiem [gm. Chotiaczów, pow. Włodzimierz Woł.]. Stefan i jego rodzony brat Iwan przesiedleni zostali na miejsce Niemców, którzy przeniesieni zostali w Poznańskie.

Kazimierz Sidorowicz: Niedługo później ja i Stefan Maciocha jechaliśmy razem furmanką do Włodzimierza Wołyńskiego. Wtedy zapytałam: „**Stefan kiedy będzie wymiana Polaków z Ukraińcami?**”, wtedy on tak na to odpowiedział: „**Wymiana będzie taka: jak ty będziesz silniejszy, to mnie zabijesz, a jak ja okażę się mocniejszy, to zabiję ciebie. Jednak ponieważ nic do ciebie nie mam, to cię nie zabiję.**”

Antonina Sidorowicz: Mąż opowiedział mi tę rozmowę zaraz po powrocie do domu. Od tej pory czuliśmy się już zagrożeni, nawet pomimo tego, że Smolarnia była właściwie wioską polską. Zaledwie kilka rodzin było ukraińskich. Tak więc już 1942 r. wiedziałam, że może dojść do pogromu Polaków i nie był to jedyny sygnał zbliżającego się ludobójstwa. Moja rodzona siostra Eugenia Turowska, opowiadała mi w Dominopolu, że rozmawiała w naszej wsi z radzieckimi partyzantami, którzy poinformowali ją, że Ukraińcy szykują się do mordowania Polaków. Gdy Eugenia i jej koleżanki stały koło swoich domów, Sowietzi podeszli do nich i tak im powiedzieli: „**Ładne z was dziewczyny szkoda was, ale was wybiją Ukraińcy! My stąd uciekniemy, ale was wymordują!**” To było latem 1942 r. Ci partyzanci radzieccy przez pewien czas przebywali z partyzantami ukraińskimi i po tym co mówili oraz po tym co się później rzeczywiście wydarzyło w Dominopolu, można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że wiedzieli o planowanej rzezi już o wiele wcześniej. Moja siostra Eugenia opowiadała mi o tym osobiście w Dominopolu, gdy ze Smolarni poszłam tam odwiedzić swoich bliskich. Pamiętam także, że już od początku 1942 r., jeszcze od zimy, stały na drogach prowadzących do Dominopola warty ukraińskie [w rzeczywistości: ukraińskie warty były później, od roku 1943]. Jedna znajdowała się przy wiosce od strony Włodzimierza Wołyńskiego, a druga na moście, na rzece Turii. W tym czasie nie można już było chodzić do kościoła w Swojczowie, ani jechać do miasta do Włodzimierza, w ogóle nie puszczali. Tymczasem w naszej wiosce Smolarni nie było wart jeszcze przez cały rok 1942.

Kazimierz Sidorowicz: Moja rodzona siostra Ludwika Skawińska zamieszkała w Smolarni opowiadała mi, że **latem 1942 r. miała następujący sen: "Śnił mi się Pan Jezus, który leżał w trumnie nieżywy, a obok trumny stała duża miska krwi ludzkiej. Gdy się tak przyglądałam na to, nagle Pan Jezus obudził się i usiadł w trumnie. Spojrzał na mnie swoimi pięknymi ale smutnymi oczami i rzekł do mnie: „Jeśli się nie poprawicie w tym roku, to na przyszły rok wyniszcze was do szczytu.”** I po tych słowach sen się zakończył!" Moja siostra opowiadała mi to zaraz po wymordowaniu wsi Dominopol. **Zobaczyła wtedy: "wielką dziwną jasność", która szła od Swojczowa przez Smolarnię w kierunku Włodzimierza Wołyńskiego, ze wschodu na zachód."** Właśnie wtedy pod wpływem ostatnich krwawych wydarzeń i tego, jakże dziwnego zjawiska: "Kroczącej tajemniczej Światłości", przypomniał jej się ten sen o mówiącym Panu Jezusie. Niedługo później ona sama, jej mąż i ich ośmioro małych dzieci, zostali także bardzo brutalnie wymordowani przez Ukraińców na ich własnym podwórzu.

PIERWSZE OFIARY BANDEROWCÓW

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Franciszek Mikulski opowiadał nam jeszcze we Włodzimierzu Wołyńskim, że jest mu wiadome, że Ukraińiec z Gnojna o nazwisku Komar zamordował polskiego oficera w stopniu porucznika, jeszcze we wrześniu 1939 r., właśnie w Gnojnie. Franciszek dowiedział się o tym od samego Ukraińca Komara, który był u niego zakwaterowany w domu, a wraz z nim wielu innych, także uzbrojonych partyzantów ukraińskich. Pewnego dnia do Komara w odwiedzinach przyszedł inny banderowiec i widząc go w mundurze polskim, tak powiedział: „*O z ciebie ładny Polaczek, masz fajne ubranie Polaka.*” **Wtedy Komar odpowiedział mu tak: „W 1939 r. zabiłem Polaka porucznika i to jest jego odzienie!”** Komar powiedział to tak, że usłyszał wszystko Mikulski.

Antonina Sidorowicz: Moi rodzice mieli pole blisko wsi Piński Most. Mieszkali tam Polacy i Żydzi, Ukraińców nie było wcale. Pamiętam młodą Żydówkę Łejkę, była niewidoma, tak jak jej ojciec Szloma, czasami widywałam w naszej wsi jej matkę, która chandlowała cielętami na rzeź, byli to bardzo ubodzy Żydzi. Druga rodzina żydowska w Pińskim Moście nazywała się Abramek i to była rodzina dość zasobna. Znałam tam dziewczynę, która miała na imię Złotka. Latem 1942 r. Ukraińcy zabrali Żydów z tej wsi do pobliskiego lasu Świniarzyńskiego i tam ich pomordowali. Moja mama Maria Turowska opowiadała mi, że widziała na własne oczy jak prowadzili Żydów do lasu, którzy nieśli łopatki. Posłużyły im później do wykopania grobów dla siebie i swoich rodzin, razem zamordowano wtedy trzy rodziny żydowskie. Także pan Kazimierz Sidorowicz potwierdza, że Żydów z Pińskiego Mostu wystrzelała ukraińska policja z Gnojna, mówi tak: „Mój szwagier Franciszek Iwanicki z Dominopola osobiście zaprowadził mnie na miejsce stracenia i pochówku. Pamiętam, że **to było na brzegu lasu, widziałem też jeszcze świeżą ziemię. Franciszek powiedział wtedy do mnie na tym miejscu: „Tu policja ukraińska z Gnojna wystrzelała Żydów z naszej wsi i z Wandylwoli.”**, razem to było 3 rodziny żydowskie.

Antonina i Kazimierz Sidorowiczowie: Od końca roku 1942, cały nasz pobyt na Wołyniu upływał w ustawicznym strachu przed śmiercią. Z jednej strony Niemcy wywozili ludzi na roboty, z drugiej coraz częściej powtarzające się pogłoski, mrożące krew w żyłach, a opowiadające jak bestialsko Ukraińcy mordują Polaków we wschodniej części Wołynia. I chociaż w naszych okolicach nie dochodziło do tak strasznych pogromów, jednak zarówno nasza rodzina jak i inni Polacy coraz częściej opuszczali swoje domy i na noc udawali się do prowizorycznych schronów i kryjówek. Częstym miejscem nocowania były także stodoły, stajnie, budynki gospodarcze różnego rodzaju, zboże na polach, kopice siana, ogrody i zwykłe krzaki. Czuliśmy się jak zaszczute zwierzęta, niepewne swego losu.

Kazimierz Sidorowicz: Pamiętam, że także od 1942 r. na drzwiach ukraińskich domów, ktoś kredą malował duży numer „102” [również w tym miejscu został błędnie podany czas wydarzenia. Znakowanie domów miało miejsce w 1943 r.]. Ten numer był chyba tajnym hasłem banderowców, ponieważ tego nie robili raczej na pewno Polacy. Poza tym uderzający jest fakt występowania tego znaku tylko na drzwiach rodzin ukraińskich, na drzwiach polskich domów